

TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 45. **Poznań, dnia 6 Listopada 1869.** **Rok I.**

Od Redakcyi.

Po ukończeniu powieści „W mętnéj wodzie“ rozpoczniemy w nr. 47 „Sobótki“ druk powiastki p. t. „Dziś“ przez Paulinę z L. Wilkońską, po Nowym Roku zaś powieść znanego i ulubionego pisarza **Zacharijasiewicza.**

Antylopa Krętorożec.

(Z ryciną.)

Nie ma zapewne między rozmaitemi gatunkami kóz, sarn i jeleni zręczniejszych i zwinniejszych zwierząt nad antylopy. Wysmukłe i kształtne, na cienkich nogach, zręcznie skaczą po urwiskach i skalistych szczytach gór w okolicach ciepłych Azyi, Afryki i Ameryki, które są ich ojczyzną. Dawniéj w Europie był dość licznie rozplemiony gatunek antylopy alpejskiéj (Antilope rupicapra) w górach szwajcarskich i w naszych Karpatach, gdzie jest znaną pod nazwą kozicy. Atoli już to dla tego, że mięso z antylopy jest bardzo smaczne, już też, że polowanie na nią, połączone z rozmaitemi przygodami a nawet niebezpieczeństwami, zapala strzelców i sprawia wielkie zadowolenie w razie pomyślnych łowów, tak w Alpach jak i naszych Tatrach w krótkim czasie tak je powybijano, że dzisiaj obawiać się należy, aby czasem ich gatunek w Europie nie został do szczętu wyniszczonym. Już to z powodu chciwości strzelców, jak też z nieoględności władz urzędowych liczą obecnie w Alpach zaledwie półtora sta antylop, a w Tatrach kozic tylko — kilkanaście.



Antylopa Krętorożec.

Daleko swobodniéj rozmnażają się one w mniéj zaludnionych a więc i nie tyle niebezpiecznych okolicach Azyi i Afryki, gdzie ich znajdujemy rozmaite gatunki. Z pomiędzy tychże zasługuje na uwagę szczególniéj afrykańska antylopa, zwana krętorożec (Antilope) strepsiceros) z powodu białych prąg spadających z grzbietu ku dołowi, podczas gdy inne gatunki mają sierść jednakową. Krętorożec żyje głównie w Gwinei i w górach Abisyńskich. Samiec nosi na głowie parę wspaniałych rogów, o dwóch spiralnych zakrętach, wewnątrz pustych, podczas gdy samica zwykle nie ma rogów, rzadko małe. Sierść kręto-

rożca jest koloru brunatno-czerwonego, gdy inne mają zwykle kolor żółtawy z szarawym odcieniem. Wzrost sięga często do sześciu stóp. Często w całych stadach spuszcza się Krętorożec z gór abisyńskich na rozległe równiny ciągnące się po nad brzegami krętego Nilu; wtedy to Arabowie urządzają na niego polowanie. B.

W MĘTNÉJ WODZIE.

Obrazki współczesne

przez **J. I. Kraszewskiego.**

(Dalszy ciąg.)

Jadzia nie wbiegła, jak zwykła była dawniéj — weszła zwolna, blada, uśmiechnięta i popatrzywszy w kuzynka (o którego chorobie wcale nie wiedziała) odezwała się, wyciągając doń rączkę.

— Wiesz Sławku, myśmy przyjechały cię pożegnać..

Ja, żegnać się nie lubię — odpowiedział podkomorzyc — zwykłem przy pożegnaniu mówić — do widzenia — zawsze się ludzie gdzieś spotkać muszą.

Kanonik zagadał hrabinę, która siadła w fotelu, bo cała była drżąca... i młodzi zaczęli mówić z sobą. Jadzia daleko zręczniejsza od Sławka... choć wcale po sobie tego nie pokazywała — wyszła z nim obejrzeć kwiaty do drugiego pokoju...

— A! jedziemy! rzekła! jedziemy! i tak daleko, aż do téj uroczéj Italii, któréj laury i granaty nic mnie nie wabią ku sobie... a za krajem, który po raz pierwszy opuszczam, tęskno mi bardzo! bardzo... ale powtarzam z Byronem...

Jedźmy — nikt nie woła...

— Jakto, nikt? spytał Sławek — przecież ja wołać będę?

— Ty? mnie? rozśmiała się smutnie, to dopiero chyba, gdy daleko odjadę? na cóż ja — tobie.

— Na co? żebym patrzył na ciebie i cieszył się jak ty różą rozkwitłą...

— Tylko że ja nie jestem różą... ale rozrosłą pokrzywą... która piecze i niezgrabnie siedzi w kątku pod płotem... rzekła Jadzia... Zostawiam ci drugą, lepszą siostrę, która pewnie lepiéj cię zrozumiała, a tyś ją lepiéj niż mnie ukochał...

— Sławek pobladł nieco.

— Jadziu, rzekł, równo kochałem was obie, nie bądź zazdrosną... tylko każdą z was inaczéj.

— A mnie — jak? spytała Jadzia...

— Powiedz sobie, żem cię tak kochał, jak chciałaś być kochaną... a powiesz prawdę.

— O! nie!

— O tak...

Jadzi łzy w oczach błysły...

— A ją jak? dodała ciszéj.

— Tak, jak ty byś ją kochała, gdybyś znać bliżéj ją mogła...

Spojrzeli na siebie, a Sławek schwycił drżącą rączkę jéj i pocałował... Czuł, że to pocałunek ostatni, a musiał ustami się jéj uśmiechnąć i pokazać oczyma nadzieję.

Jadzia była prawie szczęśliwą...

— A jednak — rzekła po chwili — choć by tu tak dobrze być mogło — jechać potrzeba... przyjedź ty do nas.

— Gdy będę zdrowszym, odparł, uśmiechając się dziwnie i gdy... ta zazdrosna gazeta puści mnie ze szpon swoich...

— O! obrzydła! szkaradna — dodała Jadzia, przeklęłam ją sto razy...

— A ja ją błogosławię, bo gdyby nie ona, powiedz, czy miałbym czém się w życiu pochlubić i czém, że żyję, usprawiedliwić?

W tém hrabina niespokojna, zaczęła wołać na córkę, a Sławek pospieszył z nią do matki. Hrabina nie śmiała prawie spojrzeć na niego, po tym wyroku, o którym się dowiedziała... nie umiała doń mówić... łzy jéj się kręciły w oczach... Musiała skrócić odwiedziny, choć Jadzia wesoła, weselsza niż dawno bywała, trzpiotała się, nie wiedząc o niczém, i prawie swawoliła.

Ten kontrast śmierci i wesela przejmował hrabinę.. nie mogła patrzeć na komedyą życia... na ironią tę straszną nadziei u grobu.

Sławek wydał się jéj niezrozumiałym...

— Pamiętajże, gazetę spal a sam do Włoch przyjeżdzaj... czekać cię będę — rzekła Jadzia w progu... i znikła... Milczące obie kobiety poszły do powozu przeprowadzone przez Kanonika...

Staruszek wróciwszy, zastał dawnego ucznia w oknie patrzącego załzawionemi oczyma na odchodzący powóz.. Jadzia powiewała białą chustką i śmiała mu się prawie wesoło... Słowa jego przedostatnie brzmiały w jéj sercu... czuła się kochaną... była pewną, że Bóg opiekuje się miłością jak kwiatkami... i ufała, że Sławek do niéj przyjedzie, lub ona do niego powróci.

Wieczór był letni, a że się z miasta ludzie wynieśli na przechadzki dalsze, — cicho było i pusto i pompejańsko na małych zwłaszcza uliczkach. Sławek blady siedział w oknie, wychodzącym na ogródek, zmęczony, bo przez cały dzień pisał gorączkowo, jak gdyby myśli ostatek chciał z siebie wylać, nim słabość nawet myśl mu wydrze... naprzeciwko niego z brewiarzem na kolanach, smutny Kanonik wpatrując się w twarz ukochanego dziecka, łykał łzy... bo — łudzić się było niepodobna, lampa ta dogorywała. Sławek codzień był gorzéj. A choć nigdy nie mówił o tém, choć się do otaczających uśmiechał, z przypadkowych wyrazów, z samego postępowania znać było, że o losie swym wiedział i że się wyrzekł nadziei.

— A! mój ojcze — rzekł, wzdychając do Kanonika po długiéj przerwie w rozmowie, bądź co bądź... smutno tak świat opuszczać podciętemu kosą, nie dokwitnąwszy, nie rozwinąwszy się, niedokończonemu sercu, niedojrzałemu... nie wypowiedziawszy, co jest na dnie... a co najgorzéj, nie dopełniwszy obowiązków...

— Mój drogi panie Świętosławie, odparł ksiądz —

nie lubię tęsknych myśli w człowieku, bo to zawsze samolubstwo... Jeżeli żal siebie to już prosty egoizm, jeśli żal świata to gorzéj, bo niewiara w opatrzność. Szczera i chrześcijańska dusza patrzy na świat — jako na dzieło twórcy, w którém wszystko dla nas niedocieczone — konieczne i potrzebne.

— A! dziecię moje? cóż my rozumiemy z tego porządku przerażającego wszechświata? czy pojęta dla nas potrzeba boleści? czy zrozumiałe męczeństwa powszednie... i te wśród kół zębatych życia gruchotane w dzień ofiary, które nam niewinnemi się zdają? Wierzaj mi, gdybyśmy nie widzieli przed sobą innego życia i nieśmiertelności... świat byłby dla nas urągowiskiem...

— Tak — mój ojcze... ale trudno nie zapłakać, gdy boli? rzekł Sławek, weź dolę moją i połóż ją przed sobą i powiedz mi — nie smutnaż to dola?

— O! nie mój Sławku poczciwy, odparł wzruszony starzec, dla ludzi, quorum Deus venter est, dla ludzi, którym trzeba zostawić milion po sobie i ofiar pół miliona, aby się im życie nazywało skończoném — dla tych ludzi... ty i twoja egzystencya do dziś dnia niezrozumiała, biedna dla nas... ona piękna i pełna. Miałeś młodość czystą i świętą pod bokiem zacné macierzy, wyszedłeś w świat z duszą poczciwą, z chęcią dobrą, z czcią prawdy... walczyłeś i pracowałeś dla niéj — czegóż ci brak...

— Szczęścia... szepnął Sławek.

— Dziecko moje... tak! po ludzku ci szczęścia brak było — odrzekł kapłan — ale po Bożemu je miałeś. Czy ty wiesz, co zostają za męty i fusy w człowieku po tym napoju, który się szczęściem nazywa? Na dnie twojéj duszy ich niema... Szczęście! tak to ziemski napój co odurza... i zabija, co przykuwa.. i zbydlęca...

Sławku mój... mówmy o czém inném.

— O czém? zapytał Młyński — o czém chcesz? Niemogę się oprzeć jakiemuś smutkowi. Tęskna jest dusza moja... jakby przeczuciem mimowolném...

— Wieczorem westchnij do Boga, pomyśl o braciach twych ze krwi i ducha, błądzących bez przytułku, łaknących bez pokarmu, strapionych bez pociechy... a nie będziesz na los swój narzekał...

— Masz słuszność mój ojcze — odparł, mężniejąc Sławek... nietylko to, co Goethe nazwał poezyą szpitalną, jest śmieszne, ale i rozmowa szpitalna nie męzka...

To mówiąc, przycisnął rękę do piersi, jakby ból w niéj uczuł, a pod dłonią zaszeleściało mu coś, niby schowany papier... Usłyszawszy ten szelest, Sławek uśmiechnął się gorżko. —

— Mój ojcze, rzekł... wielcy to byli mężowie ci, co jak prorocy kamienowani, wyśmiewani, wyszydzani, oplwani, potrafili zachować hart duszy i nieodstąpili prawdy... Ale jakże to bolesny widok narodu, który głuchym, ślepym jest, a nie widzi prawdy... i szaleje. .

— Widok straszny, rzekł kanonik — ale popatrz, gdziekolwiek prawda była zapartą, oplwaną, udręczoną, czy tam kiedy ostatecznie fałsz zwyciężył? Nigdy... Wszystko to, co tryumfowało chwilowo... padło w gruz i rumowisko... a prawda dobyła się z pod ruin w tysiące lat... a oplwane zwłoki jéj obrońców relikwiami się stały.

Sławek się uśmiechnął dziwnie i znowu słychać było szelest papieru, jak gdyby go tarł w dłoniach...

Kanonik wstał, potrzebował pójść na wieczorną modlitwę, podali sobie ręce w milczeniu.

— Do zobaczenia.

Sławek jak wkuty pozostał na miejscu... patrzał w okno... Po wyjściu kanonika wyjął z za surduta papier i począł, rzuciwszy nań okiem, drzeć go powoli...

Wtém szelest się dał słyszeć, a podkomorzyc jakby przelękły szybko tę kartkę schował do bocznéj kieszeni, domyślał się kto wchodzi, twarz mu się rozjaśniła.

Była to Lena cała w czerni, z bukietem kwiatów w ręku... smutna, wybladła, udająca wesołą dla niego... Wszedłszy, wpatrzyła się w jego twarz, która ją uderzyć musiała niezwyczajnym wyrazem i podała mu kwiatki.

— Moja ty dobra siostrzyczko, rzekł, podając jéj rękę Sławek... co jabym ci miał przynosić kwiaty, jak na męża przystało, to ty mi bukiety ofiarujesz...

— Przypomnijże sobie... to była misya mojego żywota... Dzieckiem biedném na ulicy schwyciłam cię biedaku... myśląc, że za asterki dla matki umierającéj grosz dostanę... a teraz niemi dla saméj siebie żebrzę o jałmużnę serdeczną...

— To prawda, odpowiedział Sławek, ale ty jałmużnę, jak ją nazywasz, wzięłaś całą... nic mi już dla nikogo nie zostało, oddałem ci wszystko... i jestem jeszcze dłużny...

— Przepraszam!! ale dajmy pokój obrachunkom... między siostrą a bratem... być ich niepowinno...

— Jam ci zawsze dłużny... za to żem młodą, wesołą, przykuł do tego szpitalnego krzesełka...

— Wstaniesz przecie z niego?

Sławek się uśmiechnął i nic nie odpowiedział.

— Dzień tak śliczny — dodał — tak bym chciał wyjrzeć w świat, odetchnąć powietrzem wiejskiém... a tu to miasto w okowach mnie trzyma...

Westchnął.

— Wyjedziesz — odezwała się Lena...

I znowu nie było odpowiedzi.

Podkomorzyc gorączkowo się rzucił na krześle.

— O mało nie zapomniałem, rzekł... moja Leno, wstyd mi wyznać, ale wstać mi trudno... gdybyś mi moją, o tę szkatułeczkę podała...

Wskazał na stolik... Lena prędko przyniosła i położyła mu ją na kolanach. Sławek otworzył, ale w chwili, gdy miał wieczko podnieść, zatrzymał się i patrząc na nią, rzekł cicho.

— Daj mi słowo — że prośbie mojéj nie odmówisz...

— Mój drogi... byleś nic żądał niepodobieństwa.

— Ale rzecz najprostsza w świecie, a nie miałem nigdy odwagi ci jéj powiedzieć — mówił podkomorzyc — wiesz, że chorym się nic nie odmawia, oni są jak dzieci niegrzeczne...

— Przestraszasz mnie...

(Dokończenie nastąpi.)

Z melodyi biblijnych.

I rzekła Judith zdaleka straży murów: otwórzcie bramy, bo z nami jest Bóg, który uczynił moc w Izraelu.
Księgi Judith XIII—13.

I.

Uderzcie w kotły na znak wesela,
I niech odpoczną rycerze!
Bo oto wielki Bóg Izraela
Znowu wszedł z ludem w przymierze!

II.

Wróg popustoszył nasze dzielnice,
I pola zbożem okwite;
Ale Pan natchnął swą służebnicę,
I z wielu wybrał Judytę!

III.

Odwagę męża zatlił w jéj łonie,
Lica upiększył natchnieniem...
Wsparł ją swym duchem, — a przez jéj dłonie
Własném zmógł wroga ramieniem!

IV.

On jeden bowiem, skoro zapragnie,
Moc swą rozsławi po świecie:
Przeto wróg teraz korny jak jagnię,
Do stóp legł słabéj kobiecie!

V.

Wczoraj tak jeszcze straszny i groźny,
Jak rzeka falą wezbrana:
A jutro próżno trąby obożnéj
Głos będzie budził hetmana!...

VI.

Dłoń jego więcéj po miecz nie sięgnie,
Ni stopa z łoża się zwlecze!
W piersiach żołdactwa strach się zalęgnie,
Co gnać go będzie jak miecze!

VII.

Chwalmyż więc Pana! chwalmy przykładnie!
Kadzidłem czcijmy i słowy!
On dumne wrogi u stóp swych kładnie:
Bo wielkie imie Jehowy!

Nancy 1869 r. Władysław Bełza.

Regent Hiszpanii.

(Z ryciną)

Don Francisco Serrano y Dominguez, książę de la Torre, obecnie regent Hiszpanii, urodził się 17 września 1810 r. w Arjonilla w Andaluzyi i liczy dzisiaj lat 59. Mimo już dość podeszłego wieku zewnętrzna jego postawa jest jeszcze bardzo zajmującą. Głos jego jest donośny, dźwię zny, ruchy układne, wyraz twarzy pełen szlachetności. Wszakże opinia publiczna nie przyznaje mu wiele wartości wewnętrznéj, a niektóre chwile jego życia rzucają na jego moralny charakter nie bardzo jasne światło.

Karyerę wojskową jak i polityczną zawdzięcza on prawie jedynie intrygom. Nie mając żadnych stałych zasad ani przekonania, ani téż pewnych dążności, oprócz jedynéj zaspokojenia własnéj dumy, przechodził z obozu do obozu, raz stawał po stronie ludu, drugi raz występował przeciw dworowi. Serrano i Ros de Olamo przyczynili się głównie do moralnego zepsucia młodéj Izabelli, która już w piętnastym roku życia swego rozkochała się namiętnie w dzisiejszym regencie, zaszczycała go orderami, tytułami, łaskami, bezwzględném zaufaniem, za co jéj się Serrano jak najgorzéj wywdzięczył.

Niektóre jego postępki są dotąd tajemnicą osłonięte, niewytłomaczone. Kiedy w r 1831 jenerał Torijos podniósł rewolucyą przeciw rządowi i uległ z swymi stronnikami, Serrano miał się podobno przyczynić do tego, że amnestya króla spóźniła się i szlachetny Torijos wraz z 60 stronnikami został ścięty. Dzisiaj śród cieniu drzew południowych i pośród klombów bujnych kwiatów, na placu Riego w Maladze, wznosi się wspaniały pomnik ku uczczeniu pamięci straconych.

Kiedy w roku 1842 wybuchła rewolucya przeciw Esparterze i moderadosy zwyciężyli, Serrano, już wówczas jenerał, stanął wraz z Primem, Olozagą i innymi po stronie młodéj Izabelli, która go nazywałą „najpiękniejszym z swych jenerałów.“ Gdyby nie energiczny charakter Narvaeza, już wówczas byłaby może katastrofa nastąpiła, tak były bowiem węzły polityczne i moralne dworu madryckiego rozprzężone. Dwór madrycki przedstawiał stan więcéj niż opłakany. Młoda Izabella oddała rękę swemu kuzynowi, Don Francisco, do którego wielką miała niechęć. Niezgoda w domowém pożyciu wzrastała, z czego Narvaez i Serrano korzystali. Powolnemu a dobrodusznemu królowi nie wolno było robić wyrzutów Izabelli z powodu jéj słabości do jenerała Serrany, i ile razy przeciwko temu wystąpił, karcił go za to surowo Narvaez, a nieraz za karę trzymał przez kilka dni w pokoju pod kluczem. Don Francisco wszystko znosić musiał.

Mimo wysokich i donośnych urzędów rozrzutne życie kosztowało Serranę bardzo wiele. Grandowie Hiszpanii mają sposób nie bardzo szlachetny, ale pewny — nabycia w krótkim czasie ogromnych kapitałów. Źródłem tychże była dotąd wyspa Kuba, tak zwana „perła Antyllów.“ Perła ta przynosiła każdemu gubernatorowi zwykle 10—12 milionów franków rocznego dochodu i to jedynie z ohydnego i uczucie ludzkie obrażającego handlu murzynów. Hiszpania jakkolwiek zobowiązała się traktatami międzynarodowemi w r. 1817 i 1853 nieprowadzić handlu ludźmi, popierała go jednak jak najbardziéj i głównie go sama prowadziła. Na wyspie Kubie trzymali Hiszpanie w 1817 r. 20,000 murzynów, w roku zaś 1868 liczyli ich 600,000. Za jednego murzyna płacili na wybrzeżach afrykańskich po 150 franków, a sprzedawali go za 3—4000; od każdéj głowy brał naczelny gubernator Kuby po 50—500 franków. Jedyny tylko jenerał Baldes nie splamił się tym podłym zyskiem, z którego wszyscy inni korzystali. I jenerał Serrano postarał się o naczelne gubernatorstwo na Kubie i brał od głowy po 5 uncyi złota, co czyni przeszło 150 talarów. Jego wyprawa przeciw wyspie San-Domingo skończyła się klęską i sprowadziła stratę 20,000 żołnierza i 500 milionów reałów. Mimo to Izabella zaszczyciła swego kochanka tytułem księcia de la Torre.

W wszystkich rokoszach Prima stał Serrano zawsze po stronie rządu, wszakże gdy widział, że rząd się nieutrzyma, w roku 1868 przeszedł do obozu rewolucyonistów, pobił szczęśliwie pod Alcoleą margrabiego Novaliches, ogłosił rzeczpospolitą i został powołany wolą narodu na zaszczytne stanowisko regenta kraju.

Szczęście służyło mu niewątpliwie, że taki jednak charakter tak wysoko mógł się wznieść śród narodu, tłómaczy się to jedynie moralném upadkiem Hiszpanów.

K.

O Teatrze narodowym.

(Dokończenie nr. III.)

W 1839 r. Pfeifer powrócił do przedsiębiórstwa i rok 1840 ostatni jego zawodu był nieco pomyślniejszym dla teatru, dzięki przybyciu Palczewskiéj, znakomitéj aktórki dramatycznéj choć przejętéj jeszcze starą klasyczną rutyną. Z końcem 1840 r. zaczynają się lepsze dla teatru krakowskiego czasy. Najprzód po długich wahaniach senat zdecydował się na wybudowanie nowego teatru, zakupił domowy gmach Kluszewskiego i z gruntu go przerobić rozkazał. Czas był na to wielki, bo rzeczywiście do upadku sceny przyczyniał się wiele i senat wolnego miasta, który niemając nic lepszego do roboty i teatr zaniedbywał, a i teraz pod pozorem



Jenerał Serrano.

amortyzacyi kapitału na budowę gmachu użytego (około 360,000 złp.) odmówił także subwencyi dyrektorowi.

To też Pfeifer się cofnął, a przedsiębiorstwo przyjął Chełchowski i od razu zmiana była widoczną. Nowy dyrektor w krótkim czasie potrafił zgromadzić młode, świeże, a znakomite siły, które po dziś dzień świecą pierwszorzędną jasnością. Tak zaraz w pierwszym roku jego dyrektorstwa widzimy Królikowskiego Jana, Rychtera i dwóch braci Chomińskich, z których jeden, dobry komik, występuje dotąd w Warszawie, a drugi najznakomitszy może z polskich artystów w rolach kochanków, zamordowany został po r. 1846 przez Moskali. Z kobiet odznaczały się Sułkowska, Pique, Radzyńska.

To też wykonanie sztuk mało pozostawiało do ży-

czenia, choć gust publiczności tak się wykształcił, że aktorowie niedawno uznawani za bardzo dobrych, ledwo w drugorzędnych rolach dobrymi byli. Jednakże wielu jeszcze rzeczy brakło. I tak, wystawa była licha, dekoracye nieszczególne, ubiory stare, zniszczone, wybór sztuk nietrafny, zawsze z tendencyą przeważnie cudzoziemską, ratowanie się łokciowemi, pełnemi reklam afiszami. Lubo więc teatr nieskończenie był lepszym od poprzedniego, lubo Chełchowski położył niezaprzeczone zasługi zgromadzeniem znakomitych aktorów, przecież narzekano i sarkano, a niechęć tę podtrzymywał Meciszewski złośliwemi, stronnemi, ale pełnemi trafności krytykami.

W 1842 r. 30 grudnia, teatr nowy został otwarty i ustanowioną została komisya teatralna, która jednak bardzo niewielki wpływ wywarła. Wszystko to przecież nie pomogło, a Chełchowski zniechęcony, zrażony usunął się od przedsiębiorstwa i z częścią artystów wyjechał, miejsce zaś jego zajął Meciszewski. Człowiek ten niegdyś majętny ale rozrzutny, bez głębokiego wykształcenia, ale bystry, posiadający instynkt piękna i gadatliwy do zbytku, wybornie wykazywał słabe strony, i z teoryi sądząc, zdawał się wielkie rokować nadzieje. Jakoż dotrzymał ich, ale w części tylko. Nigdy z pewnością teatr krakowski nie cieszył się taką świetnością dekoracyi, maszyneryi, ubiorów, słowem wystawy, nigdy tak licznego nie posiadał personalu, jak w r. 1844 i 1845. I nie dziw, Gropius malował dekoracye, Guth fabrykował kostiumy, a grono artystów liczyło blisko 60 osób. a wśród nich już to stale, już chwilowo występowali Królikowski Jan, Żółkowski Alojzy, Rychter, Chomińscy, Nowakowski, Palczewska, Sturmowa i inni. Nawet opera zakwitła na chwilę ze Studzińską i Bełcikowską, a balet formować się zaczął także.

Dziwić się można, jakim sposobem Meciszewski wystarczył na to wszystko? Zagadkę tę rozwięzuje bajeczna małość pensyi wynoszącéj w przecięciu 120 złp. na miesiąc, a z których najwyższa nie przenosiła 500 złp. Ale ważniejszą daleko podporą była sympatya publiczności. Jeśli gdzie bowiem, to przedewszystkiem w sprawach teatralnych nakład opłaca się stokrotnie, i im kto oszczędniéj chce prowadzić to przedsiębiórstwo, tém straci więcéj.

Ale cała ta świetność teatru krakowskiego była bardzo krótką, bo rok 1846 rozpędził artystów w różne strony świata, teatr opustoszał. Meciszewski się zniechęcił, a choć został de facto dyrektorem, de jure odstąpił przedsiębiórstwo Mączyńskiemu.

Pod kierunkiem tego skąpca teatr znów szybko do upadku chylić się począł. Wprawdzie niebrak było dobrych artystów. Królikowski wciąż grą swoją genialną podtrzymywał dramat i komedyą, a Bełcikowska, Studzińska, Stysiński ratowali operę. Ale nieporządek był niesłychany i trudy nieznośne. Maszynerye psuły się w czasie przedstawień, lampy gasły i kapały olejem, armie udawało paru figurantów z miotłami, artystki do ról królewnych ubierały się w perkalowe suknie, artyści zapominali, że istnieją na świecie rękawiczki. Mączyński ani się pytał, co się dzieje z teatrem, zdawszy zarząd na Pfeifra; aktorzy dzielili się dochodami, a on chował sobie 20,000 złp. rocznéj subwencyi, jaką miasto znowu od 1844 płacić zaczęło.

Polityczne wypadki 1848 r. do reszty podkopały teatr, artyści się porozjeżdżali, przedstawień nie było, a mimo to Mączyński brał subwencye. Toż samo w r. 1849, choć w tym roku Chełchowski z swoją trupą przyjechał na czas jakiś, a reszta pozostających aktorów, żeby się od głodowéj uratować śmierci, dawała liche reprezentacye. Nareszcie zagrożony cofnięciem zasiłku, Mączyński przyzwał Chełchowskiego i odstąpił mu zarządu wraz z połową subwencyi. Drugie 10,000 rachował dla siebie... za nic. Chełchowski przybył bez grosza i w takiéj nędzy, że wszyscy aktorowie mieszkali w gmachu teatralnym razem, i razem jadali, jeżeli było co. Najwyższa pensya wynosiła 2,000 złp. Zaczął się jednakże przechód Moskali do Węgier i napowrót. Nikt z miasta nie chodził do teatru, ale zato oficerowie moskiewscy zapychali go całkowicie i Chełchowski doskonałe zaczął robić interesa. Dzięki temu zwrotowi, trupa doszła wkrótce do osób 40, a artystki zaczęły na scenę występować dobrze a nawet elegancko ubrane, mianowicie Linkowska, Grochowska, Cenocka. Pierwsza i ostatnia w pewnych rolach grały wybornie; odznaczały się także Chełmicka, Kasprzycka, Chełchowska a jako śpiewaczka Hofmanowa, czyli raczéj Majeranowska. Komplet więc kobiet był niezły i daleko lepszy od męzkiego, w którym tylko Linkowski i Kuliciński więcéj się odznaczali. Gdy do tego Chełchowski nie umiał wybierać sztuk dobrych, i lubował się w melodramatach szalonéj szkoły, gdy niedbał o wystawę i ubiory, więc teatr dość dobrze stojący w 1849 r. zaczął znów upadać i coraz mniejszego u publiczności doznawać współczucia. Rok 1851 nie był lepszy, a w r. 1852 skończył się na szczęście kontrakt Mączyńskiego, a więc i Chełchowskiego.

Tu znów wystąpili do walki Chełchowski i Meciszewski, pierwszy w swojém imieniu, drugi w imieniu stowarzyszenia akcyonaryuszów, którzy podpisali akcye na 200,000 złp. Za Meciszewskim przemawiało wszystko, gust, zamiłowanie teatru, kapitał, wreszcie rozrzutność, która na dobre wychodziła aktorom i scenie. Ale drobna okoliczność, niechęć osobista, a główmie niełaska hr. Gołuchowskiego dla teatru polskiego, przechyliły szalę na korzyść Chełchowskiego. Udzielono mu kontrakt prowizorycznie na półtora roku i subwencyą 5000 guldenów z obowiązkiem utrzymywania niemieckiéj opery. Przyrzekając mu to na prywatnéj audyencyi tamtoczesny gubernator Galicyi, hr. Gołuchowski, otwarcie mu powiedział: „Krakowianie nie potrzebują teatru polskiego, urzędnicy i wojskowi nie mają zabawy żadnéj, trzeba dla nich teatr niemiecki sprowadzić.“ Przyrzekł to Chełchowski i w 1853 r. urzędnicy i wojskowi mieli zabawę, w Krakowie była opera niemiecka. Straciwszy jednak na téj zabawie przez zimę około 40,000 złp., Chełchowski wolał zrzucić się z kontraktu. jak daléj bawić takim kosztem urzędników i wyjechał wraz z trupą do Tarnowa. Wtedy rząd ogłosił konkurs, który tak maluje postępowanie tamtoczesne władz austryackich, że mimo szczupłych rozmiarów przytoczyć go musimy choć w treści. Rząd ofiarował 5000 guldenów subwencyi, darmo lokal teatralny i mieszkanie wolne dla dyrektora teatru niemieckiego, konsens na kawiarnię teatralną, siódmy bilet od widowisk po za teatrem, dochód z redut i balów maskowych. Za to żądał utrzymania zimą i latem dramatu, opery i wodewillu niemieckiego, i dawania przedstawień 5 razy na tydzień tj. 3 niemieckich i 2 polskich. Gdyby osobno wzięto niemieckie i polskie przedstawienia — niemiecki teatr otrzyma $^2/_3$ części subwencyi i wszystkie dochody inne, a polski $^1/_3$ tylko. Zdaje się, że i Moskale nicby lepszego nie wymyśleli, a przecież to się działo lat temu 15!...

Przy takich warunkach zgłosił się tylko i otrzymał przedsiębiorstwo niejaki Meyerle z Wiednia, a jako Niemiec nietylko został uwolniony od złożenia kaucyi, ale wypłacono mu zeszłoroczną subwencyą z góry. Meyerle sprowadził dość liczny personał niemiecki, ale polskiego skompletować nie mógł. Żaden artysta polski ani słuchać nie chciał o wejściu pod jego kierunek, a Chełchowski robił doskonałe interesa w Tarnowie. Żeby go zmusić do przyjęcia układu z Niemcem, władze zamknęły mu teatr i zabroniły przedstawień w Galicyi zachodniéj. Chełchowski pojechał do wschodniéj i twardo się trzymał. Nareszcie Mayerle straciwszy wszystko został za długi wpakowany do kozy, a artyści niemieccy kosztem rządu wrócili do Wiednia.

Tak Kraków przyjął operę, dramat i wodewil niemiecki.

Parę miesięcy nie było teatru, aż zjawił się znów Pfeifer. Loże natychmiast zaabonowano wszystkie i polski teatr utrzymał się rok cały bez subwencyi. Odtąd Pfeifer uzyskawszy koncesyą na nieco lżejszych warunkach, prowadzi antrepryzę aż po rok 1864. Peryod to niczém się nieodznaczający. Artyści mierni, wystawa licha, dobór sztuk jeszcze gorszy. Postęp o tyle, że oper zaprzestano dawać. Po Pfeifrze na krótko, bo na rok tylko, objął zarząd Miłaszewski, a w r. 1864 teatr krakowski przeszedł pod kierunek hr. Skorupki. Z nową dyrekcyą przy reżyseryi wytrawnego artysty Jasińskiego, doszedł on do świetności niebywałéj nigdy. Wprawdzie daleko mu do nowéj dekoracyi Gropiusa i ubiorów Gutha, wprawdzie nie puszcza on się na opery i ma mniéj liczny personal, wprawdzie wreszcie czystość sali, oświecenie i część dekoracyjna wiele bardzo do życzenia pozostawiają, ale nigdy on niemiał takiego doboru talentów jak w ostatnich latach. Modrzejewska, Hofmann, Ekerowa Rapacki, Benda, często Eker, Ładnowski (syn), czasem Nowakowski, stanowią komplet, który śmiało nazwać można doskonałym, zwłaszcza gdy sztuka nie wkracza w zakres tragedyi.

Oto pobieżny ale nauczający rys kolei, jakie przechodziła scena polska w Krakowie. Nauczający, mówimy, bo dowodzi, że w miasteczku niewielkiém, w części zaludnioném przez Niemców, ubogiém, teatr polski mógł się utrzymać, a ile razy kierowany był przez ludzi gustu i zamiłowania prawdziwego, dochodził do prawdziwéj świetności. Przedsiębiorcy rzadko wykonywali swój obowiązek, publiczność zawsze, z wyjątkiem chwil, w których o sztukach nie czas było myśleć.

Drugim, właściwym Krakowowi rysem, było brak zupełny krytyki teatralnéj. Zaczęła ona się budzić około 1833 r., ale na prośbę samego Pfeifra zamilkła. W dziesięć lat później podniósł głos Meciszewski, a choć to głos był pełen trafności, stronniczość i uprzedzenie odbierały mu powagę. Recenzye Mączyńskiego nie zasługują na uwagę, a o pojęciu godności krytyki da nam wyobrażenie następujący szczegół. W czasie powtórnéj dyrekcyi Chełchowskiego, tenże dawał lożę redakcyi Czasu, gdy jednak dziennik ten poważył się zganić go trochę, dyrektor bilet odebrał, a redakcya Czasu odpłacając piękne za nadobne, przestała odtąd zupełnie pisać o teatrze. Potém nastąpiła ugoda z Pfeifrem, odtąd Czas zaczął chwalić wszystko bez wyjątku. Dziś niestety, Kraków nie wiele pod tym względem postąpił. Albo bezwarunkowe a ckliwe pochwały, albo nagany pełne uprzedzenia. Niemniéj i w innym kierunku niewidać postępu. Od zawiązku teatru aż po dzień dzisiejszy nigdzie mniéj nie grają rzeczy oryginalnych polskich, jak w Krakowie. Wstręt ten do narodowych utworów zdaje się być tradycyjnym przymiotem i złych i dobrych dyrekcyi teatralnych krakowskich.

Przygody asesora Z...

(Prawdziwe zdarzenie. — Dokończenie.)

Asesor opowiadał, że w téj okropnéj chwili zapomniał o sobie, że zdało się jemu, jakoby czarci przebiegali salę, nakoniec kiedy zmordowany katostwem kniaź upadł na sofę, asesor począł jęczeć i płakać jak dziecko.

Kniaź po kilku minutach przyszedł do siebie, usłyszał jęk i zerwał się z miejsca, podbiegł do trupa.

— Kto tu jest? zapytał drżący.

— Ja! pomiłuj! skomlał asesor.

— Kto ty — kto?

— Asesor wiłkomirskiego powiatu!

Kniaź porwał świecę ze stołu, przyświecił, przeżegnał się machinalnie i zadzwonił. Do sali wsunął się sekretarz, poszeptali ze sobą może z pięć minut, potém kniaź usunął się wgłąb', a mały człowieczek zawsze uśmiechnięty zbliżył się do trupa.

— Wasze światelstwo! wyrzekł po chwili — można żandarmów i kibitkę odprawić, bo ten już nie żyje.

Trubeckoj tupnął nogą, jakiś czas mruczał coś pod nosem, pocierał czoło — nareszcie wyrzekł stanowczo:

— Żandarmów odprawić, a kibitka niech czeka, bo więzień pojedzie. —

Sekretarz uśmiechnął się i stał milczący.

— Da, ty masz rozum i tak będzie — przywołaj Naumę.

Za chwilę wysoki barczysty Czerkies stanął przed kniaziem, w milczeniu wysłuchał rozkazów.

Asesor ani wątpił, że on był ich celem, jednakże Czerkies nie spojrzał się nawet na niego, ale w milczeczeniu poszedł za sekretarzem i wrócił po chwili sam, przynosząc wór z sobą.

W kilku minutach trup biednego więźnia w miejsce trumny ostatnie schronienie znalazł w płóciannym worze.

Tylko uważaj, żeby ze środka mostu — wyrzekł kniaź, widząc, że Czerkies już ciężar zarzucił na plecy.

— Słuszaju! odpowiedział Czerkies, usiłując się wyprostować. Kniaź machnął ręką, a wkrótce milczenie zaległo w sali.

Asesor poprzysięgał, że jeszcze nigdy w życiu tak gorąco się nie modlił, jak wtedy, zapomniał i o skarbach i o Niaurze, zapomniał nawet, że się znajduje przed obliczem kniazia, któremu niedawno oskubał głowę i że go za to krępują więzy.

Kniaź po kilkakrotnie coś do niego przemawiał, lecz on nie był w stanie ani zrozumieć, ani odpowiedzieć. Pomiłuj! pomiłuj! to jedno słowo drżało mu tylko na ustach.

Nareszcie uczuł, że zwolniono mu więzy, że mógł odetchnąć swobodniéj.

— Kniaziu pomiłuj! zawołał raz jeszcze, bijąc czołem pokłony, jak przed świętym ikonem.

— Ty prawosławny? zapytał kniaź.

— Prawosławny, prawosławny! podchwycił prędko asesor — mój ojciec przeszedł na prawosławie, kiedy jeszcze byłem rebionkiem — ja czysto ruski —

— Jesteś asesorem — pocóżeś przyjechał do Wilna? — Hulałeś gdzieś, kiedy nawet nie masz munduru na grzbiecie, — mów mi wszystko, nie łżéj, bo ja wiem nawet, co myślisz, a że ci nic złego się nie stanie, to możesz być pewnym.

Rozczulony taką łagodnością asesor wyspowiadał się ze wszystkiego, przezorność mu tylko nakazywała zamilczeć o skarbach. Całe opowiadanie upozorowane zostało poszukiwaniem broni.

Kniaź wysłuchał wszystkiego uważnie, a ponieważ doszło i do ostatniego spotkania, kniaź na znak zgody pierwszy podał rękę, uznając się winnym i dodając, że za gorliwość potrafi wynagradzać, upewnił nawet asesora, że nie ma do niego żadnéj urazy i że odtąd zatrzymuje go przy sobie jako czynownika do osobnych poruczeń.

Było to jeszcze jedno, ostatnie — fata-morgana pana asesora, bo wkrótce się przekonał, że popadł w matnię, z któréj nie prędko się wyśliźnie.

Z hotelu rzeczy i pieniądze wkrótce dostawiono do sali; brakowało tylko pugilarsu i asesorskiéj podorożnii, bo te przywłaszczył sobie Niaura, i kiedy z tego względu asesor wyraził swoje obawy, kniaz upewnił, że nie zaniedba odszukać zbiega.

— Ale w pugilaresie znajdowały się także i pewne poszlaki, dowodzące pobytu Konarskiego u ks. Syrwida, nazwiska osób, po których można było dojść, gdzie się

Syrwid ukrywa — wyrzekł asesor wpół chełpliwie, wpół lamentująco. Chciałem się przysłużyć waszemu światelstwu i pracowałem w cichości.

— Oh! oh! zawołał kniaź, klepiąc po ramieniu przyszłego czynownika — ty odtąd będziesz moja prawa ręka, żal mi tylko, że na jakiś czas będziemy musieli się rozstać.

Asesor był w mniemaniu, że kniaź zamierza go wysłać w celu śledztwa najprawdopobniéj w wiłkomirski powiat. Uśmiechnął się więc w duszy, było by to bowiem to samo, co wrzucić rybę do wody; ale jakże się zdziwił, kiedy kniaź najwyraźniéj, najobojętniéj wyłuszczył myśl swoją prawie w następujących słowach.

— Mój przyjacielu! ty już nie żyjesz, ciebie téj nocy Niaura zabił a ciało utopił, i skradłszy twoje papiery, ucieka. Jak długo będziesz uchodził za umarłego, to niewiadomo, — to późniéj się okaże, a tymczasem ty najdaléj za godzinę odjedziesz jako więzień, któregoś tu widział. Za Pskowem mój Czerkies Nauma ogłosi, żeś mu umknął, ale nie radzę ci czegoś podobnego na prawdę zamyślać, bo na taki wypadek Nauma jest panem twojego życia i zadławi jak kociaka, jeżeli piśniesz przed kimkolwiek lub gdziekolwiek choćby tylko słówko o tém wszystkiem, co zaszło tu dzisiaj w nocy. Trzeba ci bowiem wiedzieć, ze więzień, którego tu widziałeś, miał być odesłanym do Petersburga, miał umrzeć w drodze, nic więc złego się nie stanie, że ty go zastąpisz.

Asesor padł jak długi na twarz przed kniaziem, wołając: Pomiłuj kniaź, pomiłuj!

— Duraczeńku! lubaszu ty mój! nie bój się, mówił kniaź z dobrocią, podnosząc pobladłego asesora, — ty będziesz żył i włosek ci z głowy nie spadnie. Pojedziesz z Naumą do moich dóbr, będziesz tam hospodarzył jak car jaki, a potém jak wszystko ucichnie, to i powrócisz znowu na urząd sprawnika, albo i wyżéj jeszcze.

Nauma Czerkies wszedł na wezwanie kniazia, otrzymał głośną instrukcyą, jak ma postępować z asesorem, słowo w słowo, jak mu to poprzednio kniaź obwieścił, z dodatkiem tylko, że aż o dwie mile z Pskowem pozbędzie się łańcuchów, którémi na teraz go obciążą dla lepszéj mistyfikacyi władz policyjnych.

Rad nie rad, chąc nie chcąc, trzeba się było poddać losowi.

— To prawda — kończył opowiadanie asesor, żeśmy się podrużyli z kniaziem (poprzyjaźnili), na drogę wypili ze sobą szampana i na moje żądanie Nauma wziął ze sobą pełną flaszę doskonałéj starki, ale cóż kiedy ze strachu, jak mi na nogi i ręce Nauma włożył kajdany, tak się trząść zacząłem, jak galareta, a kiedy mnie wrzucono do kibitki i konie ruszyły z kopyta, to już we mnie i duszy nie było.

Miałem zalecone w drodze mówić tylko po polsku i jeżeliby gdzie co wrzucono mi do kibitki, chwytać i ukrywać niby przed Naumą i żandarmem, ale ja do samego Pskowa nietylko że i polsku nie mówiłem, ale zapomniałem nawet i o kochanéj starce. Już za Wilnem, kiedy nam zmieniano podwodę, jakaś panna czy pani dostała się aż do mnie, wsunęła mi coś do ręki i wymówiwszy kilka słów po francuzku, uciekła popychana od żandarmów; gdzieindziéj znowu złamała się oś pod miasteczkiem — w oka mgnieniu zbiegła się taka masa ludu, że byliśmy jak w oblężeniu.

Ktoś mnie uchwycił za kołnierz i prawie na pół wyciągnął z kibitki, nagle dał się słyszeć głos: „to nie on" — a potém inne głosy, pytania, leciały ze wszystkich stron. Nie odpowiadałem, słyszałem tylko, jak się dopytywano, czy mam bliznę na czole. Kwiaty, pieniądze, przysmaczki, bielizna, wszystko to jakby z nieba zlatywało do kibitki i nie wiem, coby było daléj, gdyby nie nadjechała druga podwoda ze silniejssą eskortą, na którą mnie Nauma przesadził, i iak uszliśmy widocznéj zasadzki przygotowanéj dla tego, który już od 24 godzin nie potrzebował niczyjéj pomocy.

Za Pskowem dopiero tak, jak było umówionem, i ja jakoś lżéj odetchnąłem i Nauma się ożywił. Pozbyliśmy się i żandarmów i nieproszonych przyjaciół. Zaraz od stacyi, w lesie, pozostawiliśmy kibitkę i moje łańcuchy, a sami piechotą doszli do miasteczka. Jak wdziałem więc mundur, myślałem, żem się na świat narodził.

Dopiero wtedy już podrużeni z Naumą, zaczęliśmy przeglądać rzeczy, które mi Nauma sumiennie doręczył.

Były tam i kartki jakiemiś hieroglifami pisane, odesłałem je wszystkie kniaziowi, aby z nich jaki użytek zrobił, ale była i chustka, którą mi ta panna czy pani zaraz za Wilnem do ręki wcisnęła, chustka biała, zwyczajna, nawet by i w samym kniaziu nie obudziła podejrzenia. Ale ja myślę sobie, tu coś musi być, któż by chciał się narażać na kułaki dla oddania kawałka szmatu. Jak zacznę tedy i tudy i siudy przewracać, przeglądać, macać, jest... — patrzę, — obrąbek jak u ścierki — sprułem i znalazłem litery drobniuchne, tylko, że ani po polsku, ani po rusku, ale po żmudzku były pisane, nie mogłem więc z tego korzystać. Aż dopiero teraz, jakem powrócił w te strony, przywołałem jednego malca i kazałem mu wytłómaczyć. Wszakże to ten przeklęty Niaura miał stósunki z więźniami w Wilnie, broń rzeczywiście i pieniądze były zakopane w owym lesie, ale właśnie donosił, że już gdzieindziéj wszystko przechował i sam ucieka przy mojéj pomocy z całą rodziną do Szwecyi.

Wszystko, jakby kamień w wodę wrzucił. Mnie Trubeckoj trzymał daleko jak na uwięzi, obiecywał różne posady a i jego czort wziął i posady, wsio, wsio propało! Tylko wy maszenniki wsio nurtujecie i nurtujecie! — tak zakończył opowiadanie swoich przygód były pan asesor Wiłkomirskiego powiatu.

E. D. — Żmudzin.

ROZMAITOŚCI.

(Tracenie dzieci w Chinach.) Dziennik Espérance wychodzący w Nancy podał swego czasu następujące szczegóły o morderstwie dzieci w Chinach. Każdy poddany niebieskiego państwa ma prawo po upływie jednego roku pożycia z żoną porzucić ją i poślubić sobie drugą. Opuszczona żona posiada prawo życia i śmierci nad swemi dziećmi, których krocie giną corocznie w Chinach śmiercią ręki matki zadaną. Prawo cierpi te zbrodnie i to powtórne wyzucie się z najświętszych uczuć macierzyństwa. Istnieje nawet w Chinach rzemiosło tracenia dzieci skazanych na śmierć przez nieludzkie matki, a jedna kobieta chełpiła się nawet tem, że wrzuciła 600 dzieci do morza. Dla powstrzymania tych okrucieństw istnieje już od dawna w Hong-Kong religijne stowarzyszenie francuzkie ratunku dzieci, pod nazwą Oenvre de la sainte enfance. Główném siedliskiem jego jest miasto Chartres w Francyi. Płaci ono za każde dostarczone dziecko po 1 franku i opiekuje się niemi późniéj wedle możności. W środkowych Chinach przejeżdzają po miastach z rana oddzielne wozy, do których matki jawnie pakują dzieci przeznaczone na stracenie. Głównym powodem jest nędza, bo zdarza się często, że matki oddając Towarzystwu swe dzieci, żądają zwrotu szmatów, w których przynoszą zawinięte niemowlęta.

Szarada.

Pierwsze i trzecie przestrzeń tę oznacza,
Którą uprawia skrzętna dłoń oracza;
Drugie i czwarte widzisz w lecie, w zimie —
W mieście i na wsi; najlepsze swe imię
Wiodą z Arabii, Anglii, Ukrainy,
Z nad brzegów Wisły, a może i Dźwiny;
Dwóch średnich synonim jest „bodzie";
Wszystko oznacza ród ludzki w pochodzie
Jednego czasu, choć wszelkich narodów
W strefach upału, chłodu, wiecznych lodów.

(Rozwiązanie szarady w nr. 44: ***Izabella.***)

PUSZKA DO LISTOW.

Panu M. R. w Poznaniu. Do wiersza Pańskiego „Na cmentarzu" dopisał Pański brat po duchu wierszyk, który Mu przesyłamy w odpowiedzi:

„Tylko groby i mogiły
Tylko wdowi jęk i łkanie!
Raczéj nuć nam wieszczu miły,
Pogrobowe zmartwychwstanie!"

Panu M. Z. Gnuty; Rymowanych „krakowianek" Pańskich nie zamieszczamy, choćby dla tego, ażeby Pana nie zdradzić, że Mu krakowianki głowę zawróciły. — Panu Wł. St.n w Inowr: Nadesłane „kwiaty" wcale piękne, ale nawet w téj porze dość zwyczajne. — Panu N. w Toruniu. Nie za długie — ale za łatwe. Panom B R. w Poznaniu, F. R. w Toruniu: Odpowiedź odkładamy do przyszłego numeru Sobótki.

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Roman Szymański w Poznaniu, Lipowa ul. nr. 2. — Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu.
Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.